NUMER 29. DNIA 29. LIPCA 1906 ROKU. ROK XIV.

TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

O DWU DRAMATACH ORKANA.

„Cóż ludziom po prawdzie, gdy cierpią“.
Wina i Kara.

Odnaleść wynikliwość wewnętrzną i spoić nią dotychczasowe dzieła Orkana w całość, dającą obraz rozwoju jego twórczego kunsztu i myśli, uważamy za przedsięwzięcie, mogące mieć na celu efektowność, nie jednak sumienność. Które z utworów wspomnianego pisarza osądzić należy jako zbyteczne (naturalnie w pewnym stopniu) zbłądzenie na manowce, a w których pokazać powrót na drogę poszukiwań własnego, pełnego patrzenia na rzeczy i takiegoż ich wyrażania — rzetelny krytyk rozstrzygnąć jeszcze nie może, bo za mało ma danych. Trudna to w ogóle sprawa, a u Orkana trudniejsza, niż u wielu innych. Orkan bowiem jest, żeby tak pospolicie określić, na wskroś typowo nowoczesnym człowiekiem, to znaczy, cechuje go (wmówiona powszechnym komunałem) wątpliwość kryterjów, rozbieżność chęci, podatność niezmierna urokowi chwili, a stąd zmienność i niepewność dążeń, a stąd gorzkie nieukojenie i męczące tułactwo tęsknot.

Ludzie, sytuacja, myśl jakaś przygodnie rzucona, książka — działają na Orkana, jak pałeczka dyrygenta na orkiestrę: odrazu wybucha burza instrumentów. Ale zwolna — pierwszy skrzypek, Orkan sam, obejmuje przewództwo gry i, zamknąwszy się samotnością marzeń przed natręctwem rzeczywistości, wyłącza narzędzie po narzędziu z zespołu muzycznego, aż wreszcie do smutnej zazwyczaj przyśpiewki, wtórzy mu garść grajków — posłusznych. Podobnie wichura jesienna zmąci gromadę zeschłych liści, wzbije je rojem konających smutków w powietrze i... poniesie precz różnymi wiatrami — zostawiając na stygnącej ziemi jeno kilka... najkrwawszych. Dopiero z tej garstki ostatecznych refleksji nad ludzką dolą — niedolą układa Orkan akcję dramatu, powieści i noweli. — Odbywając teraz powrotną drogę tworzenia od rezultatów do rzeczywistości — nagina ją wedle nich, zaniedbuje lub wyjaskrawia, tak, że tylko tam, gdzie rzeczywistość rezultatom refleksji Orkana najsilniej przytakuje, (bo je właśnie zrodziła, bo jest ich tłem) t. j., gdzie Orkan odmalowuje nędzę, ciemnotę, uparte wstecznictwo i prymitywne zło instynktów ludzkich-chłopskich, tam tylko nie szwankuje prawda. Śmiech rzadko towarzyszy i postaciom i utworom Orkana — a gdy się zjawia, to niewyzyskana w nim „vis comica“, albo też znać, że przy narodzinach tęczy były... łzy.

Jakby władał nad twórczością poety nieodparty przymus dramatyzowania. Jakby jakaś siła wyższa wiodła go za rękę po tym świecie, a omijając wesele, podejmowała z ziemi raz po raz jakiś smętek czy dramat i o nim kazała mówić. Wszelako to mówienie Orkana nie jest pełną rzeczywistością napojonym dramatem. Niech nas ten fakt nie zwodzi, że poeta za tło swoich refleksji i skarg bierze dramat i nie dedukujmy stąd, iż jest poetą dramatycznym. Dramat bowiem, przedstawienie gry, występujących na arenie scenicznej sił, obchodzi Orkana ubocznie, dominującymi momentami są dla niego wyniki psychiczne, dramatem w nim samym obudzone.

Co ja czuję i co ja myślę, patrząc na życie, to główne wartości, które Orkan chce nam przekazać. To też, gdyby pieśnił lat temu trzysta, kiedy bezpośredniość związku między formą dzieła a typem

twórczej organizacji nie była tak osłabiona, byłby Orkan uznany bez zastrzeżeń za liryka. Ale Orkan jest dziś — i dziś Orkan jest lirykiem. Niewątpliwie zadziwić może rzecz jedna, — najbardziej osobista, najczęściej, najchętniej, najsilniej trącana przez liryków struna — u niego prawie milczy. Gdzież jest poezja miłości Orkana?

Dotychczas, a może na zawsze, zabrał jej czas i miejsce — motyw społeczny.

Orkan wyszedł z wielotysięcznego środowiska ciemnych i pokrzywdzonych — przeszedł w „słoneczniejszą“ sferę wybranych. Ale choć właśnie na pierwsze lata jego rozwoju przypada czas wszechwładnej Przybyszewczczyzny aspołecznej — przedewszystkiem artystycznej, przedewszystkiem erotycznej — niedał się porwać jej wzburzonym wirom i nigdy „nie zabaczył“ syn roztoków — „swoich“, a tylko pogłębiła się przepaść intelektualna między nim a nimi. Tem większy ból. I uwiązała mu się ta biedna ziemia niedoli łańcuchem u nóg i u serca. On nie zerwał łańcucha. Z dobrowolnej niewoli zaczerpnął smutnego tworzywa swoich dzieł. Cierpi, boleje. Z tego uczuciowego podłoża wyrosła myśl — druga smutna towarzyszka twórczości Orkana. Myśl korzeniami tkwiąca w bolu, żywiona jego sokami; myśl bezbronna przemocy życia, raczej refleksja jeszcze raz powtarzająca świadomości, jeszcze raz utrwalająca w niej przekonanie: „o jak wielka jest niedola ludzi!“

Tak więc. Liryczno-refleksyjnym poetą jest Orkan a dostatecznego dowodu dostarczy nam choćby rozbiór dwu dramatów, przedmiotem niniejszego artykułu będących.

Dwa te dzieła stoją na krańcach twórczoścl Orkana; „Ofiara“ pisana w 1898 r. — zaś „Wina i kara“ jest dorobkiem ostatnich lat. Pierwszy dramat, czy jak autor określa „fragment w trzech aktach“ wysnuty jest ze znanych konfliktów 46-go roku. Z jednej strony „pan Jan“ z „Chrystusową twarzą“, przenaturzony pojęciem Ofiary-miłości, zaopatrzony całą zbrojownią słów-argumentów, noszących mundur mistyczno-patrjotycznej poezji naszej lat po czterdziestym. (Najwięcej tam Słowackiego). Z drugiej strony lud, latami pańszczyzny wyzbyty znacznie człowieczeństwa, nieufny, ciemny a chytry, sprytny a głupi, uwiedziony nienawiścią ku „panom“ i przeciw nim instygowany podjuszczeniami rządu. Ale te relacje o ludzie my tylko znamy i tylko słyszymy, bo dopiero w trzecim akcie jawi się on osobiście na scenie, już z rezultatem postanowień swoich, jako potrzebny autorowi czynnik katastrofy. Dwa pierwsze akty wypełniają tylko odgłosy tego, co się dzieje na wsi — a grę dramatyczną w nich reprezentuje polemika „pana Jana“ z sąsiadami, którzy odmienne mają zdania co do sposobu działania i co do udziału ludu w gotującym się ruchu.

Fabuła dramatu bardzo nikła. W dworze „pana Jana“ (w okolicy Tarnowa) zgromadziła się młodzież i czeka hasła na zaczęcie walki, nim ona nadejdzie, grzmią tylko pieśni patrjotyczne i lecą na bój bohaterskie marzenia. „Pan Jan“ chce pozyskać do współudziału lud swej wsi. Oddawna już, zaraz po śmierci bezwzględnego ojca, zmienił postępowanie dworu z chłopami. Każdy stosunek z nimi napełnił braterstwem i miłością, bo „Pan Jan“ jest tej wiary, że siejba miłości w serca ludzkie jest najgodniejszem zadaniem człowieka a najracjonalniejszym, koniecznym obowiązkiem obywatela - Polaka względem ludu; ten posiew stem ziaren za jedno oddaje. „Pan Jan“ uważa miłość za mistyczną broń w walce o wolność narodu; — gdy grube lody, zakuwające dusze ludzkie, odtają ciepłem serc, potężna rzeka spadnie na tajemne koło przeznaczeń i odwróci je nam na wyzwolenie, gnębicielom na klęskę. Wszystko to zbłąkane, przerzucaniem spojrzenia poza rzeczywistość — w marzenie, przeświadczeniem mistycznem o „Miłości-Czynie“, o owym jednym momencie ekstazy, co „przekreśla księgi krzywd, pisane przez wieki całe“, przeświadczeniem wątpliwie słusznem, gdy mowa o jednostce, niewątpliwie błędnem, kiedy w rachunku różnorodne zbiorowisko ludzkie, zwane narodem. Więc też w walce z rzeczywistością paść musi „Pan Jan“ ofiarą tak bardzo wzniosłej, ale nierealnej lub przedwcześnie wcielanej miłości. Lud sproszony na ucztę — na której miało być rzucone hasło: niema pańszczyzny więcej! z narodem na bój! — „świętego“ krępuje powrozami i wydaje (w najlepszym razie żywego) ...cyrkułowi austrjackiemu.

Nic dziwnego! Chłop gnębiony przez „ojca nieboszczyka“, nieuświadomiony dostatecznie, z bezinteresowną, bezrealną miłością „syna dziedzica“ nie umie sobie poradzić, jak ją uważać? czy jako fantazję pańską? czy jako strach? czy jako niedołęstwo? czy jako podstęp niewiadomego celu? a pobłażliwości używa na rozpętanie więzów swoim — na razie nizkim — instynktom.

Tę przeciwstawność psychologii „Pana Jana“ i ludu z jego wsi należało opracować (bez względu na własne uczucia lub refleksje), i wyzyskać dla

dramatycznej gry sił. Nieporozumienie zaś stron obu między sobą i z rzeczywistością uczynić tragicznym szkopułem akcji. Takby postąpił dramaturg z powołania i zawodu. Czy tak postąpił Orkan? — nie.

Orkan dał nam tylko wyniki — a jedynie, o ile przyzwoitość pisarska wymagała, zaznaczył drogi tych rezultatów, powierzając je głównie domysłowi naszemu i naszej znajomości historji. Orkan podkreślił tylko dramatycznością sytuacji ból, jaki się odczuwa na widok nadaremnych wysiłków święcie marzącej duszy. Realny pierwiastek grozy dramatycznej zastąpił nastrojem złowróżbnych przeczuć: sen pani Marji, niepokój Magdy.

Prawdziwy dramat pozostał nietknięty; — temat znakomity a nęcący, bo wychodzący ogólnym problemem psychologicznym poza realistyczny obraz dziejowy.

Ktoś chcący się nim zająć, powinien pamiętać, że główną część akcji przenieśćby należało na wieś, a przynajmniej równomiernie dwór i wieś naświetlić. Nie śmiem twierdzić, że Orkan tego nie widział, ale twierdzę, że tego nie zrobił, twierdzę nawet, że tego nie chciał zrobić. Twierdzę, że Orkana przy rozważaniu zdarzeń 46. r., wzruszyły właśnie owe tak bezdennie smutne „lacrimae rerum“ rwącego się do wolności narodu. Porażka marzycielskich dumań, może pokrewnych wówczas jego myślom, i jego krwią się oblała; rzeczywistość historyczna rzuciła mu pytanie, na które umysł odpowiedział nurzanemi w goryczy refleksjami. Te uczucia i te refleksje zaprodukował nam Orkan w formie szkicowej panoramy scenicznej, gdzie szło o oddanie tego samego zasmucenia, jakie ze zdarzeń wziął. Takie tłumaczenie wyjaśniałoby po części przyczyny braków dramatu, a zupełnie sposób przeprowadzenia go.

Nie przeczę jednak, że gdybym tylko ten jeden dramat Orkana na dowód powyższemu twierdzeniu i w ogóle twierdzeniu, że Orkan nie jest dramaturgiem lecz poetą liryczno - refleksyjnym, miał postawić, nie mógłbym sparować zaprzeczeń. Wszak można te i takie niedostatki omawianego dramatu przypisać z pewną racją niezupełnemu opanowaniu techniki dramato - pisarskiej — co zwłaszcza, zważywszy że „Ofiara“ przypada na początki twórczości Orkana, nie byłoby pozbawione nietylko pozorów słuszności. Tak, — było i to, ale nie istotnem źródłem błędów „Ofiary“. W jeszcze większem spotęgowaniu odnajdujemy usterki owe w ostatnim dramacie poety, w „Winie i karze“, oddzielonej od „Ofiary“ siedmiu laty rozwoju. Przeprowadzenie tego dramatu jawnie już ukazuje słuszność naszych twierdzeń.

(Dokończenie nastąpi). *Adam Zagórski.*

FELIKS PRZYSIECKI.

CHWILE.

Kiedy z życia zgnilizny, jako zmierzch, tęsknota
Rozwłócza myśli moje po dalekim świecie,
Wtedy tak jestem smutny, jak jesienna słota,
Jak pamiętnik kochanka rzucony na śmiecie.
Czasem nocą mój pokój jest, jak ctchłań, pusty,
Nad którą czas wyroki przeznaczeń wydzwania...
Ach! wtedy lęk przed sobą z domu mię wygania...
Idę myśli me spalić w płomieniach rozpusty!
W noc deszczową się włóczę po pustych ulicach,
Pod ramię z mem wykwintnem, wymownem sumieniem,
Co — z uśmiechem cynizmu na zniszczonych licach —
Bawi mię humoreską — mem dawnem marzeniem.
...Aż z rozżaleń nad sobą tęsknota urasta!
W dreszczach gorączki, nie chcę już wracać do domu,
...Zdaje mi się, żem w murach nieznanego miasta,
Że błądzę sam w ulicach, nieznany nikomu.
W czarnych szatach, ukryta w cień łkającej rynny,
Woła za mną namiętnie skądś znana kobieta,
Szepce, że wie, jak jestem smutny i niewinny...
Obok nas czeka czarna, dwukonna kareta...
Jak na pustych ulicach wiosną szum kasztanów,
Tak przejmująco szepce o podróżach nocą...
Ach! dziś porzucam wszystko, jedziemy bez planów!
Pierwszym lepszym pociągiem, nie pytając po co?!!
Wtem nagle ponad wszystkiem zatrzasły się wrota!
W lęku rzucam się ku nim, jak zgubione dziecię!..
...Potem jestem tak smutny, jak jesienna słota,
Jak pamiętnik kochanka rzucony na śmiecie.

Wanda Dalecka.

Pieśń ojczysta.

Z niedawnej przeszłości.

Zamek Kimburg na wyniosłej stoi skale. Baszty jego murów niegdyś postrachem były napastników, wrzawy bitew niejednokrotnie o mury

jego się odbijały, a na tych basztach potężnych, na stopniach kamiennych historja niezatarte kładła swe zgłoski.

Dumnie wznosi się Kimburg, zda się niedostępny w swej grozie, a rzeźbione krużganki i okna łukowe patrzą z wysoka na kraj u nóg jego rozpostarty.

A piękna to ziemia! Marzenie poety lub źrenice orła mogły ją chyba odnaleść.

Szumią fale Łaby pośród łąk kwiecistych, ze skalnych urwisk tryskają strumienie i w pienistych rzutach spływają na dolinę, jak okiem zajrzeć, wzgórza pokryte oponami winnic, sady przeobfite, łany zbóż złocistych, a kędyś, na zboczu szemrzą gaje śpiewne, lub w głębi rozdołu, w gąszczu olch i czmielin cichy staw ciemne otwiera oko. W głębi doliny niby ramię obronne półkręgiem potężnym dźwignęły się Karkonosze i na barkach swych skał, na czołach lodowych unoszą kopułę błękitu, dymią się piuropuszami obłoków, a w cichą noc gwiazdy wieńczą im głowę.

W dolinie mnóstwo bieli się wiosek, sadyb, dworków, wpółskrytych w gąszczu sadów. Na białych drogach, rzędami drzew sadzonych, gwarno zawsze i ludnie, a nie spotkać tu nic, coby serce ściskało widokiem nędzy lub opuszczenia; lud dorodny, a syt i dostatni, pogania zaprzęgi rosłych koni, wiedzie na pola pługi sytych wołów. Po białych chatach, w jasnych świetlicach huczą tkackie warsztaty, urodziwe kobiety biały len silnemi zwijają rękami. A ile wiosek, tyle szkół z rojącą się dziatwą, a po gospodach w świąteczne wieczory rozbrzmiewaja dźwięcznie zestrojone orkiestry i płyną pieśni ojczyste swobodnem, lubem echem.

W całej dolinie, jak szeroka i jak jest ludna, kipi żywa działalność.

Lecz jeśli ucho baczniej przychylić, to w tem tętnie pulsującego życia uchwycićby można pewien zbyt żywy, zbyt może gorączkowy pośpiech rozwijającego się postępu — rzecby można: organizm wycieńczony niemocą, w szczęśliwej chwili przesilenia pracuje ze zdwojoną energją, na odzyskanie sił utraconych. Z ciężkiej zaiste niemocy powstaje ten piękny kraj. Niedawno jeszcze ten dobrobyt, ten przemysł wartki, rozwijał się lko pod silnem z góry naciśnięciem sprężyny pozoru tylko czynił lud spokojnym a sytym. duszach panował mrok, w umyśle — głód. d półwieku przeszło Czechy stały pod sztanrem narodowego odrodzenia. Od Sudetów do mawy, od wyżyn Morawskich do wonnych gór Smereczanych, jak kraj szeroki i długi wrzała walka zacięta z niemczyzną, trudna, zajadła, sto razy odpierana — a zawsze zwycięska. Czeska mowa, czeska pieśń, czeskie prawa narodowe wstawały z wiekowych pleśni, silne młodością i wiarą w przyszłość. Po wszystkich zakątkach czeskiej ziemi kipiała nieustanna, czujna praca narodowa. A ruch szedł z dołu, szerokiemi warstwami, wrzynając się głęboko. Z wiekowego uśpienia wstawał tytaniczny duch ludu i wołał o swe prawa. Lecz wyżej — w pałacach, w zamkach starych zaparto drzwi przed imieniem ojczyzny. Tak, jak za dawnych czasów, panowały tu hasła niemieckie, niezachwiane ku niemczyźnie ciążenie. Czem wyżej stały stare rody, tem głębszy przedział rył się między nimi i ludem. Było tak powszechnie, z nielicznymi wyjątkami zaledwie.

Zamek Kimburg bardziej może, niż inne magnackie gniazda, trzymał się haseł starych. Od kilku pokoleń mowa niemiecka, obyczaj niemiecki rozpierały się w tych starych czeskich murach. Członkowie rodu zajmowali dostojne urzędy dworskie, niejednokrotnie imię Kimburgów spotykało się na najwyższych stopniach austryjackiej armji.

Ostatni dziedzic Kimburga wraz z licznemi włościami otrzymał w spuściźnie po przodkach stare ich tradycje. Nie sprzeniewierzył się im — nie. Jego dumne oczy zawsze zwrócone w stronę sfer najwyższych — lud, czeska czerń, ze swemi żądaniami, ze zwem wołaniem o prawo, gdzieś tam straszliwie nizko, u nóg jego, jak marne mrowie się krząta. Dość mu zacisnąć dłoń, aby zamilkł. I zacisnął twardą prawicę i lud zamarł. Pod żelazną obrożą jego woli we włościach jego zamilkły wszelkie porywy narodowe. W szkołach, w urzędach, na zgromadzeniach publicznych znikła mowa czeska, a biada temu, z czyich ust nuta czeskiej pieśni doleci uszu pańskich. Nawet ukochanej małżonce, słodkiej pani na Kimburgu, nie wolno odezwać się po czesku, gdy pan i dziedzic przebywa na zamku. Zaledwo gdzieś, po izbach czeladnych tuli się echo ojczystej mowy, ojczystych piosnek, nieśmiało dźwięczących. Zamknęły się serca ludu, zaparł się w piersi głos — i tylko czasem, gdy wieść z szerszej ojczyzny przyleci, lub jakie echo prac narodowych i walk i zwycięstw aż tu, w dolinę Kimburgu zapłynie — wówczas ponurym ogniem zapłoną starca źrenice i niejedna młodzieńcza twarz błyśnie ogniami buntu.

Lecz pan na Kimburgu ma dwóch młodych synów. Starszy, pod ręką ojca wychowany, kształcił się w wyższej szkole wojskowej i do twarzy mu w bogatym mundurze przybocznej gwardji cesarskiej; ojciec z dumą nań spogląda, już dziś znać, jak zaszczytnie imię Kimburga nosić będzie. Drugi, młodszy znać odmienną miał duszę i odmienne były jego upodobania, odmienne marzenia. Niechętny do wojska, zbyt mało ambitny, aby dworską karjerą znęcić go można, był od dzieciństwa troską w życiu ojca. Matka wyprosiła wreszcie, aby go ojciec pozostawił w cichym zawodzie ziemianina. Kształcił się przeto na agronoma.

Ojciec, ciągle w stolicy, rzadko tylko do dóbr swoich zjeżdża, lecz matka nie odstępuje młodzieńca.

Pod jej okiem jasnem, przy jej sercu łagodnem a dzielnem, upłynęły mu lata dzieciństwa; a kiedy wstąpił do akademji rolniczej, zatęskniła tak za nim, że sama zjechała do miasta i obchodząc się bez zwykłych wygód i bez sług swoich, w kółku najbliższych syna przyjaciół spędziła z nim lat kilka w prostem życiu studenckiem. I teraz, kiedy zaczął rządzić Kimburgiem, ta matka, młoda wiekiem i pełna młodości w duszy jest jego towarzyszką, przyjacielem i opiekunką, jego stróżem aniołem.

Nad państwem Kimburskiem niby jutrznia zaranna zabłysła. Wstawał dzień nowy, promienny i ciepły, pełen jasnych nadziei, pełen zdrowego, młodego czynu. Młody dziedzic Kimburga, tak miękki i tkliwy, że ojciec niemal z litością nań spoglądał, gdy stanął do rządów, w męskie ujął je dłonie. Bystrość Kimburga i wola Kimburga wyszły w nim na jaw niezłomne, jak u wszyskich z ich rodu. Tylko cel i charakter jego rządów był zgoła odmienny, niż przodków jego. Czy piastunka, Czeszka, oczarowała go pieśniami w kolebce, czy mu gaje i łany rodzinne czarodziejskie słowa szeptały, gdy pacholęciem będąc, karmił się ich pięknem — lecz teraz, gdy urósł na człowieka, w jego umyśle, w jego duszy zdaje się żyć tylko cel jeden, jedno ukochanie — miłość Ojczyzny; pierwszym czynem jego pracy było otworzyć szeroko drzwi wszystkiemu, co ojczyste, co swojskie. Miłość podchwyciła w lot jego zamiary. Najdzielniejsi ludzie, najżywiej oddani sprawie narodowej, stanęli na czele szkół, gminnych urzędów, czytelń wiejskich, towarzystw muzycznych, stowarzyszeń rolnych. Nie brakło rąk do pracy, nie brakło zapału. Po kilku latach dolina Kimburga zakipiała zdrowem, silnem życiem; wszystko zdawało się prześcigać wzajemnie w żywem pragnieniu postępu. Kipiała robota, pracowała dłoń, pierś wzbierała radością, nadzieją coraz lepszej przyszłości, a oczy całego ludu zwracały się z wiarą ku zamkowi, gdzie im taki orzeł młody, taki dzielny obrońca przewodził.

Dzisiaj wszakże, jak szeroka Kimburska dolina, od Karkonoszy ku wzgórzom morawskim, cały ten kraj spokojny a pogodny zatrzymał nagle wszelkie w sobie życie — rzekłbyś: tchnienie lodowe tu powiało, wszystko stanęło, zamarło, cień grobowy spadł czarną żałobą. Zaiste grobowy. Tam, na wyżynie, zamek Kimburski święci dziś niezwykłe zwycięstwo — tam się stoczył przedwczoraj śmiertelny bój, ukończyła się walka, co wrzała lat kilka w tych murach zamknięta, zacięta, głucha — walka na śmierć i życie.

Zwycięzcą — dostojny pan na Kimburgu, władca tych włości, dziedzic wielkiego imienia i rodu, któremu pierś pokryły brylanty orderów a kiedy czoło ugina, to tylko przed łaską monarszą, a kiedy usta otworzy, to tylko w obronie tronu, tylko ku sławie Austrji. —

A zwyciężonym — młodzieniec dwudziestokilkoletni, syn jego młodszy, któremu w piersi gorzała miłość kraju i miłość ludu, a na czole gwiazda zapału płonęła, a kiedy głowę dumnie podnosił, to tylko wtedy, gdy wszczynał bój o prawa ojczyste narodu.

Przedwczoraj bój się zakończył.

Z wieczora powstaniec przyniósł list z Wiednia; niedługi list, krótkiemi zdaniami kreślony, lecz każdy wyraz był, jak cięcie miecza, niezłomny, stanowczy, a celny; każda myśl była wyrokiem zagłady, niosła śmierć dla prac i nadziei młodego pracownika — list stanowczy — władcy, dziedzica i ojca, kładący koniec wszelkim toczącym się dotychczas między nimi nieporozumieniom, wykluczający wszelkie przeczenie, wszelkie zwlekania, wszelki cień chociażby oporu. Żądał w nim ojciec, aby syn wyrzekł się raz na zawsze pracy narodowej.

Trafnym był cios; twarda ręka, co go zadawała, nie drgnęła.

I ugodził ten cios w samą głąb młodocianej duszy. Młody Kimburg zamknął się na cały wieczór w narożnym swym pokoju; od całego świata odgrodził siebie ścianą zamkniętych drzwi. Napróżno stary kamerdyner kilkakrotnie [illegible] nieśmiało, napróżno matka słała pokojowco[illegible]

wreszcie sama, strwożona, późnym wieczorem przed zamkniętemi drzwiami, głosem, od łez zdławionym, wołała syna — nawet przed matką, przed swoim aniołem, zamka u drzwi nie podniósł.

Światła u siebie nie palił i tylko pacholę pokojowe, czuwające pod drzwiami, słyszało od czasu do czasu krok szybki, gwałtowny, przebiegający długość pokoju; poczem znów zapadała głucha śmiertelna cisza.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Myśli z pism Leonarda da Vinci.

— Nauka jest kapitanem, a praktyka to żołnierze.

— Ci, którzy lubują się w praktyce bez nauki, są jako pilota, wstępujący na okręt bez steru i bez kompasu i nie posiadający nigdy pewności, dokąd okręt zdąża. Praktyka musi być zawsze budowaną na dobrej teorji.

— Zdobądź w młodości to, co naprawi szkodę twej starości. Jeśli pojmujesz, że mądrość jest karmą starości, to żyj za młodu tak, aby starości twej nie zbywało na pokarmie.

— Cierpliwość czyni z krzywdami nie inaczej, jak odzież ze zimnem. Jeśli przymnożysz szat stosownie do wzmagającego się zimna, to ci ono nie zaszkodzi. Wzmocnij przeto cierpliwość względem wielkich krzywd, a nie zdołają one duszy twej zranić.

— Lepszą jest mała prawda, niż wielki fałsz.

— Źle czynisz, jeśli chwalisz, gorzej jeszcze, jeśli zniesławiasz rzecz, której dobrze nie rozumiesz.

— Doświadczenie stwierdza, że ten, co nigdy nie ufa, zawsze będzie oszukany.

— Namiętność ducha wypędza żądze.

— Gdzie najwięcej uczucia, tam największe ...ństwo.

Z ZA KRATY.

LUŹNE KARTKI.

(Ciąg dalszy).

— Oj niebogo dziewczyno, rzekła, nie żyć ci już wśród nas, ale kto wie, czy ci to na dobre nie wyjdzie, tylko słuchaj Hanka, tak mi Boże dopomóż, iż cię ratować będę, ale też i ty pamiętaj, bym przez ciebie wstydu nie miała; tu o parę wiorst od Pchjenic jest kolonista, znam jego dobrze, on i żona — poczciwości ludzie, mają dzieci małe, potrzebna im dziewucha, zaprowadzę cię do nich i umieszczę, ale pamiętaj, bym wstydu nie miała.

Przysięgłam jej, że wszystko robić będę uczciwie i dobrze, wszystko zniosę, bylebym raz uczciwie już żyć mogła — i jeszcze tego dnia byłam u kolonisty.

Trzy lata tam byłam, a było mi jak w niebie, nikt mię nie bił, nie turbował, nie poniewierał, to też nabrałam sił, wyrosłam i byłam naprawdę ładną i silną dziewczyną, o ojcu słuch zginął, nie wiem za co poszedł do kryminału i czy stamtąd wrócił, baba pierwszej zaraz nocy uciekła, coś ludzie gadali, że tam fałszywe pieniądze robiono, ale nic mi do tego nie było.

— I cóż zaszło takiego, co panią sprowadziło do więzienia? zapytałam.

— Taki już mój los paniusiu, u kolonistów bywał młody robotnik z fabryki łódzkiej, młody był, piękny i wesoły, wprost za serce brał, ja też byłam młodą, no i pokochałam go tak, jak nigdy nikogo. Antek mi szepnął, bym od kolonistów odeszła, że w mieście Łodzi, w fabryce, zarobię dużo więcej niż tu, że jak się nieco dorobimy, to pobierzemy się i będzie nam całe życie ze sobą dobrze. — I posłuchałam go, bom go nie słuchać nie mogła, do piekła bym za nim poszła, a nie do Łodzi.

— A cóż opiekunka pani, ta wdowa, co koloniści na to? — zapytałam.

— Antek mi nikogo pytać nie kazał, nie mówiłam nikomu, dokąd pójdę i co ze sobą zrobię, odrzekła głucho, co mi było po ludziach, kiedy on mię chciał. W Łodzi umieścił mię w fabryce, dobrze mi było, pracy było sporo, alem

była młoda i silna, świat się śmiał do mnie, bo Antek mię kochał, a ja świata za nim nie widziałam. Ale czy to mnie już naprawdę miało być kiedy dobrze? Zaczęłam chorować, nie mogłam do fabryki chodzić, Antek począł się złościć, ja płakałam, bo mi wstyd ludzi było i sił coraz to mniej miałam, on mi wymyślał i co tu długo mówić, w dzień, kiedy mój Bolek się urodził, Antek odszedł mię, zostawił mię samą, chorą z dzieckiem.

— Niegodziwy człowiek! zawołałam z oburzeniem, ale Skrzydlakówna machnęła ręką.

— Ot taki on, jak i drudzy, paniusiu, ani lepszy ani gorszy!

— Cóż pani poczęła z dzieckiem, chorą będąc?

— Ano trudno, przygarnęła mię tam jedna ze znajomych, podreperowałam się i dalej do fabryki, ale tak się zmarnowałam przez chorobę, i tęsknotę za Antkiem, że mi praca o wiele gorzej szła, wtedy to moja gospodyni powiada:

— Aj Hanka, nie bądź głupia, weź się do mego rzemiosła, to ci lżej będzie, a tak — to sama zginiesz i dziecko zmarnujesz.

I nauczyła mię, jak trzeba kraść po sklepach, powiedziała, gdzie potem to się odprzedaje, długom jej słuchać nie chciała, Bóg świadkiem, że nie, ale jak mi dziecko zaczęło chorować, jak nie było czem komornego opłacić, to i na to przyszło, raz, drugi się udało, aż mię złapano, no i tu wsadzono na trzy miesiące, strach, jak ja tu płakałam, jak przyszłam, ale do wszystkiego człowiek przywyka, tu dowiedziałam się, żem nie pierwsza i nie ostatnia, starsze złodziejki opowiadały mi swe historje i ot widzi paniusia, puszczono mię z paszportem brudnym, nikt mię przyjąć nie chciał, to tak już i poszło, potem byłam znów w więzieniu już rok cały, potem jeszcze ciężej było, miałam już i to drugie dziecko, żyć trzeba było, i ot tym razem to już zupełnie niewinnie mi przyszło.

— Pani pozwoli pod numer, przerwał strażnik; skinęłam głową Skrzydlakównie i poszłam.

Byłam literalnie chorą po powrocie do celi. Spokojna a tak tragiczna opowieść stargała mi duszę. W celi znalazłam list, Ewa żąda bym wskazała, do kogo ma się zwrócić z kaucją dla mnie, lub bym się rozmówiła z Zielonką; w liście jej czuję nacisk i zdenerwowanie. Wielki Boże, czyżby tam co złego się stało?

Dotąd nikt nie wie mego nazwiska prawdziwego, Ewa po raz pierwszy żąda, bym je wyjawiła, ha! niech tak będzie, oni tam lepiej to pojmują.

Napisałam całe zeznanie, kto jestem i skąd, i zażądałam, by mię zaprowadzono do kancelarji, zeznanie wręczyłam pomocnikowi naczelnika, za parę dni będzie więc nowe badanie.

21. Czerwca. Izabelka ma się bardzo źle, widziałam ją dziś na podwórzu, leżącą na kolanach matki, wczoraj nie było doktora, a bez jego pozwolenia nie przyjmą chorej do więziennego szpitala, podeszłam do dziecka, dałam jej cukierek, ale nawet widok ulubionego przysmaku nie rozjaśnił jej twarzyczki — patrzała błędnemi oczyma, nie poznając mnie.

— Paniusiu, ona umrze mi pewno, mówiła płacząc matka.

Pocieszałam ją, jak mogłam i umiałam, w końcu spytałam, gdzie jest jej syn Bolek, o którym mi wczoraj wspominała.

— W ochronie, odrzekła, jak tu przyszłam, to nasza dozorczyni powiedziała mi, bym podała prośbę do gubernatora o umieszczenie Bolka w ochronie, zrobiłam to, bo mi straszno było pomyśleć, iż on tu będzie siedział całe dwa lata i sześć mięsięcy a przez ten czas czegoby się tu nie nauczył.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Tadeusz Miciński: Do źródeł duszy polskiej. Lwów. Księgarnia H. Altenberga 1906.

„Cóż mamy czynić w metafizycznym bilansie narodowego życia? Ja myślę tak: pracować głęboko w nauce, tworzyć dzieła w zakresie roli, przemysłu i sztuki, hodować lasy jakby gaje święte, wprowadzić Chrystusa do chat swoich i uczynić z Niego słońce mrocznego życia, podnosić swą świadomość magiczną do wyżyn Prometejskich — a wtedy sięgnąć po całe niebo na ziemi szturmem najgłębszej, z miljonów piersi wydartej modlitwy: Przyjdź królestwo Twoje.“

„Naród winien mieć duszę przed sobą w całej pełni, jak olbrzymią górę,

wyrastającą z nad moczarów i równin — całą duszę z jej puszczą wrażeń w dole, z jej kamiennemi urwiskami myśli wyżej — z jej pustynią toczących się głazów — z jej lodozwałami wiar! Ormian tak łączy góra Ararat — Japończycy tak patrzą o mil sto w swój wulkan Fuzijamę — to jest symbol ich życia narodowego — to jest symbol duszy w ogóle.“

„Tak więc walczmy nie o dzień 8-godzinny — nie o język polski w szkółkach — walczmy o całego człowieka, którego szczytem, podziemną wartością i najgłębszym logarytmem jest Dusza.“

„Rosja jest bratem starszym naszym — jej dusza męczy się, szukając bieguna wszechbytu.“

„Więc przypominam Tobie wraz z Mickiewiczem, Polaku: ty kochasz mroczną duszę Rosjanina, którym jest Tołstoj, Dostojewski — i ten lud jakoby tysiącoletni Włas, zbierający wciąż składki na świątynię św. Jana.“

„I nie mówmy w nienawiści imienia Niemców. Możemy nawet zabijać, musimy walczyć — lecz nie będziemy nie kochali tego, co głębokie, wieczne w Humbolcie, w Nowalisie, w Fichtem, w Bethovenie, w Wagnerze i w Nietschem.“

„O rozwińmy swe skrzydła purpurowe, rozsłonecznione od zorzy — umęczeni na warsztacie i przybici mutrami nędzy do Golgoty fabryk — ślepi, lecz mający nagle przejrzeć — Ziemowity! Synowie ziemi i nadziemnego słońca.“

„Niech Polska się obudzi i nareszcie utworzy swoją Wiedzę i Wiarę, bo nie można Wiedzy zapożyczyć z Europy, a Wiarę przyjąć z Judei. Chrystus musi się naradzać w każdym kościele polskim, Lucifer musi jawić swe mądrości w Tatrach, nie na Libanie.“

„Więc wydobądźmy ze siebie wiarę w nieśmiertelność pierwiastku boskiego w nas“...

„W tej walce o światłość, na tych czatach straconych teraz, lecz bożych — wiecznie, pozdrawiają Was kościoły Azyjej“.

„Imię Wasze niech będzie Tryumf“.

Tak to „sowia dusza“ poety „żyjąc w mrokach, w ruinach Babelu“ zakłada „Fundamenty nowej Polski w wiedzy mistycznej“.

— Przytoczyłem tych kilka wyimków z książki Micińskiego z artykułu „Fundamenty Nowej Polski“, w którym kulminuje cel dzieła, w którym poeta przekazuje ostateczne wskazania i wyniki p o z y t y w n e swoich mistyczno - narodowych rozmyślań. Przytoczyłem zaś najkonkretniejsze zwierzenia Micińskiego, aby czytelnik z możliwie najlepszej strony poznał z jaką książką ma do czynienia. Z książką tą dysputować, jest właściwie dysputować z autorem i wykazywać, że sposób jego myślenia pod względem mechaniki, rezultatów a po części celowości i krytycyzmu nie różni się od igrania fantazji dziecięcej, przewyższa ją tylko wielością elementów, wprawą, t. zw. wyższym poziomem artystycznym i pozorami głębi. Gdy n. p. dziecko łatwowiernym współtowarzyszom suggeruje lęk lub grozę naiwnemi koncepcjami straszydeł — Miciński usiłuje wzbudzić w nas dreszcz nieskończoności muzyką słowa i wyrazami o dużych literach. — Zresztą dysputę z książką Micińskiego uważam za zbędną, ponieważ nie sądzę, by zdołała ona na zgubę powieść myśli poważnie dla narodu i społeczeństwa pracujących ludzi.

Poza „Fundamentami Nowej Polski“ — książka składa się z 4 wierszy i z 4 artykułów: 2 mistyczno-narodowych, a 2 mistyczno-literackich, Król Duch-Jaźń, Słowacki i Calderon w „Księciu Niezłomnym, ten ostatni ma pewną wartość i dodatnio wyróżnia się od reszty. *Ad. Z.*

NOTATKI.

Trzej jubilaci czescy. W ostatnim (29) numerze „Świata“ warszawskiego pisze p. K. Zalewski o trzech poetach-jubilatach czeskich, Józefie Sladku, Władysławie Quimie i Świętopełku Czechu. *Józef Sladek* jest głównie lirykiem, nadzwyczaj subtelnym. Jako redaktor „Lumira“ położył duże zasługi około rozwoju literatury czeskiej, skupiając w swem piśmie wszystkich młodych utalentowanych poetów. Sladek zna doskonale nasz język i literaturę, przetłómaczył też „Konrada Wallenroda“ Mickiewicza. Wybór poezyj Sladka po polsku wyszedł w r. 1902 w tłómaczeniu p. K. Zalewskiego.

Drugi jubilat, *Władysław Quim*, 5 lutego 1846 r. w Czesławiu, po ukończeniu wydziału prawnego, podzielił się pomiędzy piśmiennictwem a adwokaturą. Przez dłuższy czas był członkiem redakcji „Narodnich Listów“. Pierwsze jego poezje wyszły w r. 1865, w r. 1880 wydał cykl ballad pt. „Glupi Honza“, a w r. 1884 powieść p. t. „Trześnie“. Utwory jego odznaczają się prostotą formy i niezrównanym humorem. W r. 1902 wydał Quim własne pamiętniki („Kniha vzpominek“), stanowiące bogaty materjał do historji odrodzenia Czech. W pamiętnikach tych jest też dużo wspomnień na tle polsko-czeskiem, zwłaszcza w r. 1863, kiedy Quim wybierał się z przyjacielem swym, Polakiem, do świętej walki za wolność bratniego narodu. Zamiar nie przyszedł do skutku, gdyż z drogi wróciła go wiadomość o niepowodzeniach.

Trzeci, najmłodszy z jubilatów, *Świętopełk Czech* jest obok Vrchlicky'ego i Zeyera największym poetą w Czechach. O nim to powiedział przyjaciel narodu naszego, Adolf Czerny: „Jako epik czeski, to znaczy czeski całem tchnieniem, całą duszą i krwią swojej poezji, zajmuje Czech bezwątpienia pierwsze miejsce w całej dotychczasowej literaturze czeskiej. Ś. Czech jest sercu czeskiemu tak bliski, jak Mickiewicz polskiemu“...

Drukiem „DRUKARNI POWSZECHNEJ“ we Lwowie, ul. Akademicka l. 8.